



Sylvia Błach
Bo śmierć to
dopiero
początek

SYLWIA BŁACH

Bo śmierć to dopiero początek

Wydawnictwo Horror Groza 2021

© Copyright by Sylwia Błach

Okładkę stworzył Przemysław Małachowski

ISBN 978-83-67021-65-4

Spis treści

CZEŚĆ I – Śmierć

CZEŚĆ II – Umieranie

CZEŚĆ III – Życie

CZEŚĆ I

Śmierć

Upojenie

Szedłem w ciszy hotelowym korytarzem. Czulem, jak wszystko wokół się zmieniło, to niepojęte drganie powietrza, które może zostać wywołane tylko przez niezaprzeczalne i nieuleczalne cierpienie, minione lub dopiero nadchodzące. Gruby, puszysty dywan skutecznie zagłuszał moje kroki, a unoszący się w powietrzu zapach kadzideł, tak popularnych w tych małych, tanich, indyjskich hotelach, tylko dodawał nastroju chwili.

Zatrzymałem się. Mój nadludzko dobry słuch wylapał ciche głosy kochanków na ostatnim piętrze. Pozwoliłem moim myślom przez chwilę powędrować bez ciała; choć stałem w miejscu, to czulem, jak moje zmysły powoli rejestrują każdy szczegół napotkany na piętrze. Przeniknąłem do pokoju jako istota niematerialna, nie robiąc jednak zamieszania i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi... Młoda dziewczyna i chłopak, przytuleni, upojeni swoją miłością, nagością, pożądaniem. Ona ma wspaniałe, długie blond włosy, szczupłą sylwetkę i niewiarygodnie ciemną karnację jak na osobę o słowiańskich korzeniach – pochodzenie danej osoby jestem w stanie wyczuć w jednej chwili. On natomiast wydaje się przy niej taki... nijaki. Zwyczajny brzydki młodzieniec w ramionach prawdziwej piękności.

Po chwili znowu stałem u dołu schodów, wiedząc już, jak wygląda sytuacja. Nareszcie! Znowu byłem myśliwym polującym w ciszy na swoje ofiary, wykorzystującym wszystkie nadprzyrodzone zdolności, które powinny służyć dobru, a okazały się narzędziem szatana... Moim narzędziem.

Ruszyłem przed siebie. Pomyśleć, że jeszcze miesiąc temu chciałem zrezygnować z tego świata, z mojej prawdziwej natury. Aż do chwili, gdy poznałem Ją. Moją Mroczną Mentorkę. Wszystko mi wyjaśniła. Prawdziwie nieśmiertelna, pokazała mi naturę świata, ale przede wszystkim moją naturę... Mówiła słowami prostymi, ale szczerymi. Jesteś złem stworzonym do zabijania. Porzuć wszelką nadzieję i pozbań się ludzkich emocji. Wyrzutów sumienia. Na świecie jest i dobro, i zło. Ty, jako przedstawiciel tego drugiego, skończ wreszcie bezsensowną walkę i idź przed siebie, na polowanie, myśląc o czekającej nas wspólnej przyszłości... Zrozumiałem jej lekcje.

Zapach otaczających mnie świec był urzekający i sprawił, że gdy wszedłem do pokoju i przez krótką chwilę obserwowałem dwa ciała spojone w jedność, chwilowo zakręciło mi się w głowie. Nagle mnie dostrzegli...

„Jest śmierć, co oczy kochanków rozszerza”. Kto to powiedział? A tak, wspaniały polski poeta... Grochowiak...

Och, głupcze, nie zajmuj się poezją. Widzisz ich? Ich ciała rozpalone pod wpływem żądz i coraz szybciej płynącej krwi?

Jest taka śmierć... Ja jestem tą Śmiercią.

Uśmiechnąłem się blado, elegancko i subtelnie. Przeżalenie odebrało mowę dziewczynie, natomiast chłopak, po chwili wahania, wstał i zaczął coś do mnie mówić. A właściwie wykrzykiwać. Kazał mi się stąd wynosić, pytał, co tu robisz. Głupia młodzieńcza brawura. Gdy chłopiec się rzucił, przypominając rozwścieczonego jamnika szorstkowłosego, ze względu na bardzo wąską szczękę i zarost na znacznej części twarzy, dziewczyna siedziała skulona i patrzyła na mnie z przeżeniem, ale i z tą dziwną świadomością, która w chwili oczekiwania na umieranie, pojawia się tylko w oczach kobiet. Jest to jakby zrozumienie świata i całkowita akceptacja roli, jaką przyszło jej odegrać w tym życiu. Roli ofiary, która jest od dziecka wbijana kobietom do głowy. Tak, ona wiedziała, że przyszedłem ich zabić.

Pulsujące żyły na szyi chłopca działały na mnie jak magnes. Tak, ta scena musiała wyglądać zabawnie – elegancko ubrany mężczyzna, w pięknej, jedwabnej, trochę staroświeckiej marynarce, szykownych wełnianych spodniach i dłuższych, ciemnych włosach w nieładzie, o

wygłodniałych oczach... *A naprzeciwko naga para nastolatków. Pozwoliłem sobie przez chwilę spojrzeć na siebie ich oczami. Widok ten jednak mnie rozwścieczył! Nie widzieli pięknego Anioła Śmierci, jakim byłem, a dziwacznie ubranego idiotę, który wtargnął w ich życie, w chwili, gdy zwyciężyć powinno dobro i niewinność...*

Z pasją rzuciłem się na chłopca. Jego ciało zwiotczało, gdy jednym sprawnym ugryzieniem rozerwałem mu arterię i niewiarygodnie szybko wypilem jego krew.

Jestem tylko myśliwym...

Dziewczyna zaczęła krzyczeć, gdy spojrzałem na nią tymi szalonymi, zielonymi oczami. Odrzuciłem chłopca jedną ręką w drugi kąt pokoju, jakby był jedynie szmacianą lalką. Bezwładne ciało uderzyło o mały stolik, który się zachybotał, a razem z nim świecznik stojący na blacie. Przez chwilę z radością obserwowałem grę migającego światła w pokoju, odcienie purpury i czerwieni na ciele mojej pięknej ofiary, pomarańczowe plamki skaczące po jej piersiach... Po paru sekundach, będących dla nas niczym wieczność, gra świateł ustała, a ja dotknąłem delikatnie dziewczyny, pogładziłem jej skórę i z całej siły zatkałem usta. Nie, kochanie, nie zgwałcę cię. Nie mogę. Jestem nieśmiertelny. Jednak to, co cię spotka, będzie dużo wspanialsze, a jednocześnie dużo bardziej okrutne. Poczujesz pulsowanie dźwięku w swojej głowie, pierwszy raz będziesz świadoma przepływu krwi i bicia swojego serca. To nie boli... nie cały czas. Jest nawet... hm... całkiem przyjemne. Uwierz mi.

I ugryzłem ją. Nie tak, jak chłopaka, nie z uporem i siłą. Raczej z rozkoszną delikatnością, która była idealną przykrywką dla mojej siły. Ssałem krew, leżąc na jej nagim, coraz chłodniejszym ciele i wsłuchując się w jej słowa. Przeżywała to, czego ten chłopiec nigdy by jej nie zagwarantował. Prawdziwą ekstazę... Umrzeć z rozkoszy – piękna śmierć, nieprawdaż?

Miarowy stukot klawiatury ucichł. Malwina po raz ostatni spojrzała na ekran komputera i dopiero co napisane zdanie. Wyglądała pięknie, ale jednocześnie groźnie... Na jej twarzy pojawił się uśmiech i satysfakcja, ale błękitne światło, które rzucał ekran komputera i delikatny blask świec poustawianych w pokoju nadawały jej i tak już ostrym rysom dodatkowej surowości. W zielonych oczach odbijały się drgające płomienie. To wszystko w tej jednej chwili sprawiło, że przypominała wygłodniałego drapieżnika zadowolonego z upolowanej ofiary.

Wstała od komputera i zapaliła światło. Jasność rozlała się po pomieszczeniu, zabijając w jednej chwili wspomnienie o tym, jak groźnie i chytrze dziewczyna wyglądała. Znowu była piękna, delikatna, wrażliwa... Włosy w nieładzie tylko dodawały wyrazu jej zamyślonemu oczom, czyniąc spojrzenie jeszcze bardziej błędzącym, a kąciki ust coraz bardziej drgały, delikatnie zmieniając swoją pozę, subtelnie przesuwając się ku górze, przykuwając wzrok soczystym odcieniem malin...

Podchodziła po kolei do wszystkich świec i gasiła je palcami, uśmiechając się coraz szerzej, radośniej. W końcu spojrzała raz jeszcze na ekran komputera. Przejrzała tekst, naniósł kilka drobnych poprawek, głównie usuwając literówki, zmieniając interpunkcję. Ucieszyła się, że do tej pory większość rzeczy poprawiała na bieżąco – myśl o tym, że teraz czekałyby ją długie miesiące spędzane na wyszukiwaniu drobnych stylistycznych niuansów, napawała ją przerażeniem...

– No, mój drogi Arkadiusie, przyniesiesz mi sukces – powiedziała nagle z taką pewnością, jakby faktycznie bohater jej książki mógł ją usłyszeć. – Dzięki tobie będę sławna i bogata. Ludzie mnie pokochają za to, że tworząc, daję im nie tylko strach, ale też piękno nadziei... Wreszcie będę mogła pomóc matce podnieść się po stracie ojca... Może w końcu, dzięki mnie, nauczy się uśmiechać? Och, tak, i będę mogła wyprowadzić się z domu! Zacznę żyć na własną rękę. Nadmiar pieniędzy oddam biednym... Szczęście zapuka do moich drzwi, tak, tak! Wystarczy

tylko cię teraz wydać, moje drogie, kochane dziecię literackie.

I wybuchła radosnym śmiechem, rzucając się na łóżko i oddając swoje ciało oraz umysł Morfeuszowi. Nawet nie zauważyła, że w chwili, gdy napisała ostatnie słowa powieści, zegar wskazywał godzinę trzecią nad ranem. Godzinę duchów.

Rozdział I

Deszcz cicho pukał w okna. Malwina, siedząc ze swoim chłopakiem na kanapie, pozwalała mu gładzić się po głowie i bawić swoimi długimi, gęstymi włosami. Wiedziała, jak je uwielbiał. Ile razy wspominali dzień, w którym się poznali, mówił, że najpierw ujrzał ogień, wspaniały, oczyszczający ogień, a potem dopiero ją, posiadaczkę tych ognistych włosów. Zakochał się od razu i uparcie dążył do zacieśnienia ich więzi – kupował kwiaty, czekoladki, zabierał ją do kina. Aż w końcu mu uległa...

Zawsze wspominała tę chwilę z mieszanką niepokoju i radości – to, co czuła, nie było w żaden sposób odwzajemnieniem tego, co czuł on... Ale lubiła chłopaka. Więc gdy nie po raz pierwszy przyszedł do niej z bukietem róż i wyjątkowo, jak nigdy wcześniej, wpił się w jej usta swoimi słodkimi ustami, nic nie mówiąc, tym jednym gestem przekazując wszystko to, czego tak bardzo pragnęła, to, do czego jej serce tak bardzo tęskniło, mimo że samo tego odczuć nie było w stanie... Uległa, wierząc, że nauczy się kochać.

Teraz siedzieli w jej pokoju, tak jak siedzieli już wiele razy w przeciągu ostatnich kilku tygodni. Nie odzywali się. Nagle Malwina się poruszyła.

– Robert, skarbie, puść mnie – powiedziała, próbując wstać i wyswobodzić się z jego uścisku. Gdy po chwili pieszczotliwego siłowania udało jej się uwolnić, podeszła do okna i opuściła rolety.

– Nienawidzę deszczu – powiedziała radośnie, co całkowicie nie pasowało do wypowiedzianych słów, kierując spojrzenie iskrzące szalonymi ognikami w kierunku chłopaka.

Rolety były żółte. W jednej chwili pokój zmienił się nie do poznania. Zagościło w nim słoneczne światło, jakby nagle aura za oknem się zmieniła. Wnętrze nabrało wspaniałego charakteru, stając się świetliste i przytulne. Nawet Robert jakby się zmienił – w jego krótkich blond włosach zagrały świetlne refleksy, sprawiając, że przez chwilę, z tymi swoimi okrągłymi policzkami, a jednocześnie bardzo męskim i dojrzałym wyrazem twarzy, przypominał zagubionego księcia z jakiejś odległej krainy, wyrwanego ze wspaniałej bajki, w której wszyscy byli dobrzy i się kochali. Z jego oczu biła ta delikatna, dziecięca naiwność, którą Malwina tak lubiła... Życie nauczyło ją, jak zły i trudny jest świat dorosłych. A Robert? To było złote dziecko od zawsze dostające od życia tylko to, co najlepsze; wiecznie uśmiechnięty chłopak, który wierzył jedynie w dobro i tym dobrem chciał dzielić się nawet z najpodlejszymi duszami, wierząc, że w ten sposób świat zachowa swoje piękno... On miał w sobie to, co większość dorosłych traci – słodką wiarę dziecka – i co, zdaniem Malwiny, każdy powinien starać się zachować w sobie jak najdłużej.

I choć ona już dawno to straciła, uwielbiała kąpać się w jego blasku. Wtedy było tak... No właśnie, po prostu dobrze.

Malwina ponownie usiadła na kanapie, przyglądając się swojemu chłopakowi. Jej twarz przez chwilę skrzywiła się w dziwnym grymasie bólu – wiedziała, że nigdy go nie pokocha, że choć jest jej małym, pięknym księciem, to nie potrafi poczuć do niego nic więcej oprócz przywiązania. Pragnęła z całego serca, by jej stosunek do niego się zmienił – wiedziała, że wart jest kochania, że powinna odkryć przed nim najodleglejsze zakamarki swojego mrocznego serca, ukryte wśród maleńkich komórek i włókien przepełnionych krwią... Wydobyć z siebie blask... Tylko dla niego... Lecz nie potrafiła.

On też na nią patrzył, jednak jakby nie zauważał – albo nie chciał zauważyć – tej pustki, przerażającej przestrzeni, która mimo bliskości łączącej ich ciała i czasem umysły, dzieliła nieubłagane wciąż ich serca. Przysunął się, po raz kolejny objął ją ramieniem i spytał:

– O czym myślisz?

– O niczym – odpowiedziała po chwili wahania. Myślała o tym, że rani tego dobrego

człowieka. Zastanawiała się nad tym, dlaczego ma tak skomplikowany charakter. Pełen gotowości do poświęceń, a jednocześnie tak okrutny.

– Nieprawda – zripostował błyskawicznie. – Myślisz o przeszłości... Powiedz, ilu już kochałaś przede mną? – Jak zwykle nie odgadł jej myśli, zadając niewiarygodnie absurdalne pytanie. Ledwo powstrzymała się przed wybuchem śmiechu.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Ilu? Nigdy nie kochała przed nim. I jego też nie kochała. Owszem, były zauroczenia, przygody, szaleństwa... Jednak nigdy nie czuła tego, co w filmach nazywane jest miłością. Prawdziwego, wzajemnego uniesienia. Czy to możliwe, że dwudziestotrzyletnia kobieta nie wierzy w miłość? Nie, tego nie mogła mu powiedzieć... Ale skłamać też nie potrafiła.

– Oni się nie liczą – powiedziała, zadowolona z ładnej, eleganckiej wymówki. Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

Delikatnie pocałował ją w usta. Tak, to było to, czego całe życie pragnęła, na czym opierały się wszystkie jej dotychczasowe związki – radość z fizycznego obcowania z drugą osobą. Powtarzała sobie, że to nieprawda, że jeszcze się zakocha. Chciała tego! Nie chciała mieć poczucia, że jest tylko piękną kobietą, która jedynie pożąda, lecz nie potrafiła wygrać z trwogą, z tym małym chochlikiem, który ciągle z niej szydził, przypominając: dziewczyno, tobie przecież znowu chodzi o jedno.

Nie, to nie mogła być prawda! – buntowała się w środku.

A on w tym pocałunku przekazał jej tyle emocji, tyle oddania, że przez krótką chwilę pozwoliła sobie zapomnieć o tej dziwnej samotności, uczuciu niespełnienia, które stale gościło w jej duszy, zatruwając umysł.

Oddała mu pocałunek. Długi, namiętny, głęboki. Pożądanie, niczym szaleństwo, rozpostarło nad nią swoje skrzydła i nie jest już w stanie oprzeć się tej pokusie. Całując coraz intensywniej, czuła jego namiętny oddech, jego pragnienia. Rozpięła koszulową bluzkę w kolorze khaki, którą miała na sobie i skierowała jego usta na swoje piersi, subtelnie tylko przysłonięte cienkim, koronkowym stanikiem. Całował spokojnie, delikatnie, tak jak całuje mężczyzna w tych wyjątkowych chwilach, gdy całuje nie dlatego, bo wyłącznie pożąda, a całuje, ponieważ kocha... Usłyszała swój przyspieszony oddech, przez chwilę nawet miała wrażenie, że słyszy swoje szalone bicie serca. Delikatnie pociągnęła go za włosy, odchylając jego głowę do tyłu. Spojrzała w te błękitne, głębokie oczy wypełnione po brzegi miłością i prawie się roześmiała, przypominając sobie swoje wcześniejsze rozważania. W takich chwilach strach i żal, które przeżywała przed paroma minutami, wydawały się jej co najmniej idiotyczne... Zamiast tego jednak znowu go pocałowała, tym razem wolniej. Smakowała jego oddech, jego usta, pozwalając sobie na kolejną chwilę zapomnienia, gdy nieśmiało gładził jej rozpalone ciało swoją zawsze zimną dłonią.

W końcu legli na łóżku, zmęczeni, ale i uszczęśliwieni tym nagłym atakiem pożądania, tym chwilowym wyzwoleniem.

– Jak taka łagodna dziewczyna może być tak... – zaczął, ale ugryzł się w język. Nie powinien był tego mówić.

– Rozpustna – dokończyła za niego. Jej oczy zaszyły dziwną, tajemniczą mgłą. Czasem czuła, że są w niej dwie różne istoty dążące do różnych celów. Nie chciała ranić! Nie chciała krzywdzić! Nie chciała sprawiać ludziom bólu, wywoływać smutku, dostrzegać cierpienia na ich twarzach... To po prostu samo jakoś tak przychodziło, brało w posiadanie jej umysł, którego czystości zawsze pragnęła, ale tylko na pragnieniach się kończyło.

– Kiedy wychodzi twoja książka? – spytał, chcąc jak najszybciej zmienić temat, bojąc się, że ją zranił, mimo że nie wypowiedział słów, które chciał wypowiedzieć. Ona jednak skutecznie

nadała rytm jego myślom, ubrała je w słowa. Nie powinna była! To nie powinno zostać wypowiedziane! Teraz cierpi, przez niego! Jak mógł!

– Nie wiem – odpowiedziała zwięźle, po chwili nieznacznie się ożywiając. Tak, jej książka, jej małe dzieciątko, które miało przede wszystkim pomóc jej najbliższemu oraz jej samej, ponadto zagwarantować pieniądze... i przynieść sławę, oczywiście, sławę, o której marzyła już jako mała dziewczynka.

– Wysłałaś ją już chyba ze dwa miesiące temu do wydawnictwa...

– Czterdzieści osiem dni temu, mój drogi.

– I ciągle bez odpowiedzi?

– Ciągle.

Robert się zamyślił. Wiedział, co to znaczy, ale nie potrafił jej wyjaśnić, że wszystkie szanujące się wydawnictwa odpowiadają w przeciągu dwóch miesięcy. Nie potrafił, nie chciał, bał się powiedzieć, że czas się kończy.

– O czym jest ta historia? Tak dawno temu ją skończyłaś, a nadal nie chcesz mi dać jej do przeczytania...

– Przeczytasz, jak kupisz – powiedziała, wybuchając perlismym śmiechem. Na nowo obudziły się w niej wszystkie marzenia, rozbłyskając pod przymkniętymi powiekami pejzażem barw płynących z na pewno nadchodzących radosnych chwil.

– Powiedz!

– Hm... O wampirze, który ma dość swojego życia... Wiesz, to jest tak, jak wtedy, gdy nie jesteśmy pogodzeni sami ze sobą. Czujemy, że jesteśmy stworzeni do wyższych celów, ale jednocześnie żadnego z tych celów nie jesteśmy w stanie osiągnąć. Nasza natura nam na to nie pozwala – zaczęła opowiadać, choć nie zamierzała. Ale rosnąca w niej fascynacja i coraz barwniejsze obrazy radości wykwitające w jej umyśle nie pozwoliły zatrzymać potoku słów. Tak, Arkadiusa kochała prawdziwie. – I wiesz, dokładnie to samo czuje mój bohater. Stworzony na podobieństwo Boga w momencie narodzin, a potem przemieniony w bestię, wygnany w ciemność. Na początku kocha to życie, w trakcie swojej opowieści wielokrotnie wspomina, jak potrafiło być dobrze, ale przeżywa kryzys. Żyje na przelomie wieków. Takie XXI-wieczne *fin de siècle*... I nagle poznaje swoją mentorkę! Kobieta, która postanawia mu pomóc. Tak, również wampirycę. Ona wyjaśnia mu zagadkę istnienia, tłumaczy, że nikt nie ma prawa walczyć z naturą. A jeśli postanawia walczyć, to znaczy, że popełnia karygodny błąd, że grzeszy przeciwko światu. Ona mu tłumaczy, że przecież skoro Bóg, Allah, czy jak tam chce, go kiedyś stworzył, a potem stworzył istoty jemu podobne, to znaczy, że wszystko ma sens. Jeśli jest stworzony do zabijania – ma zabijać. Gdy w czasach młodości, jako człowiek, był stworzony do kochania – to kochał. Czemu więc teraz się buntuje? Wiesz, taka wieczna równowaga we wszechświecie. Chcę, by to była... nie, nie, to jest! To jest książka, która łączy w sobie konwencję horroru z głębokim, psychologicznym przesłaniem... Przedstawia brutalny seks, picie krwi, a jednocześnie... Jednocześnie odkrywa tajemnice życia, napełnia ludzkie serca nadzieją... – gdy skończyła mówić, jej oczy błyszczały, jej całe ciało jakby ożyło, nabrało mocy. Przez tę krótką chwilę ukazała się Robertowi nie delikatna, piękna, krucha istota, ale królowa siebie, pewna siebie władczyni, która wie, co chce osiągnąć i jak do tego dążyć.

Uśmiechnęła się, a Robert odwzajemnił uśmiech. Po raz pierwszy to ona sama się do niego przytuliła. Podzieliła się z nim swoim sekretem, radością. Może jednak nie była taka zła? Może po prostu tak wygładała miłość? Tak... zwyczajnie. I niewinnie.

Rozdział II

Malwina powoli przeciągnęła się na łóżku, gdy w pokoju rozbrzmiały ostatnie takty refrenu jej ulubionej piosenki „Let’s dance”. Jak zwykle zapomniała wyłączyć budzik w jedyny dzień wolny od pracy, jaki według zasad, z którymi już dawno zerwała, lecz wciąż o nich pamiętała, święcić powinna. Skoczna melodia o szóstej rano w niedzielę oderwała ją od ugniatania przez sen ukochanego pluszowego misia, którego dostała w dzieciństwie od rodziców, a który co noc pomagał jej zasnąć, przypominając o tych nielicznych chwilach, gdy wierzyła, że życie potrafi być łatwe.

Mimo wczesnej godziny, nie miała potrzeby dalszego snu. Czuła się wyjątkowo rześko, a myśl o całodziennym odpoczynku i ulubionym nicnierobieniu wprowadziła ją w wyjątkowo dobry nastrój. Dziwiła się sama sobie – wiedziała bowiem, że od wielu długich dni chodzi przygnębiona. Zrzucała to na przepracowanie, brak snu, niejasną sytuację z Robertem... Jednak gdzieś w najbardziej odległym zakątku jej głowy tkwiła zakodowana myśl, że wydawnictwa mają coraz mniej czasu na odpowiedź. Dzisiaj postanowiła o tym nie myśleć.

Powoli, niczym lamparcia królowa, wystawiła nogę spod kołdry. Nagłe uczucie chłodu zmusiło ją do szybkiego wycofania stopy na rzecz ponownego zanurzenia się w puchowej pościeli. Cicho się roześmiała, jednocześnie rozważając, czy aby na pewno warto wstawać o tak wczesnej porze...

I nagle wpadła na pomysł! Błyskawicznie zerwała się na nogi, zapominając o chłodzie panującym w pokoju, narzuciła na siebie leżący na biurku szlafrok i cichutko, nie chcąc obudzić matki, poszła do kuchni.

Szperając w lodówce, przypominała sobie czasy dzieciństwa, gdy to jej mama Jadwiga wstawała w niedzielę o szóstej rano, by przygotować dla całej rodziny jajka na maśle, tosty z dżemem i parówki. Malwina dość szybko odkryła, że z niezbędnych składników, jedyne, co znajdzie w lodówce, to... masło. Postanowiła nie poddawać się melancholii, która codziennie czaiła się za rogiem, by w chwili załamania czy podenerwowania wedrzeć do jej umysłu („Patrz, znowu ci coś nie wyszło!”) i wyjęła z lodówki to, co znalazła. Z bekonu oraz pomidorów także będzie w stanie przygotować porządne śniadanie.

Szybki obrót w stronę chlebaka (w takich chwilach cieszyła się, że kuchnia w ich domu jest malutka) sprawił, że w jej rękach znalazło się ponadto ciemne pieczywo, a wyhamowanie kolejnego piruetu tuż przed szufladą ze sztućcami zaopatrzyło ją dodatkowo w śmiercionośny nóż. Na myśl o tym, jak śmiercionośny może być drewniany nóż do masła, wybuchła perlistym śmiechem i zabrała się w końcu za gotowanie.

„To będzie dobry dzień!” – powiedziała sama do siebie, nucąc jakąś skoczną melodię.

Jadwigę obudził radosny głos córki, która przyniosła jej śniadanie do łóżka. Kobieta, wyrwana ze straszego snu słodkimi jak marcepan słowami, potrzebowała paru chwil, by dojść do siebie. Dopiero gdy przetarła oczy i wyćwiczonym przez lata ruchem łyknęła tabletki uspokajające, które zawsze trzymała na szafce nocnej, rzeczywistość zaczęła powoli do niej docierać.

– Dziękuję... – wyszeptała zaskoczona, gdy Malwina wgramoliła się obok niej do łóżka, ustawiając na środku tacę ze śniadaniem. Gdy spostrzegła, z jaką zachłannością jej jedyne dziecko wpycha sobie kanapkę do ust, coraz bardziej przypominając chomika, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Co dziś robimy? – spytała Malwina, oblizując usta po dopiero co zjedzonym plasterku smażonego boczk.

– Nie widzisz się dziś z Robertem? – Głos Jadwigi nabrał podejrzliwej barwy, gdy w jej

głowie pojawiło się alarmujące światełko i zaczął wyc alarm pod tytułem „Boże, oni się rozstają!”. W tym chłopaku (tak samo jak w każdym poprzednim przyjacielu, którego Malwina przyprowadzała do domu) widziała jedyną szansę na radość córki.

– Nooo... miałam, miałam się z nim spotkać. Ale Robert dziś pracuje, wczoraj wieczorem przysłał mi SMS-a, że ten dupiek kazał mu dodatkowo przyjść w niedzielę, bo ktoś tam zachorował. I wiesz, jak to jest, niedziela to podwójna stawka, poza tym, widziałas, żeby Robert kiedykolwiek komuś odmówił? To zupełnie nie w jego stylu. Jest potulny jak baranek, jeśli chodzi o wypełnianie poleceń... Zresztą, wydaje mi się, że nawet gdyby miał pracować za darmo, to by się zgodził. Znasz go...

Jadwiga przestała się skupiać na słowach córki, która najwyraźniej dostała słowotoku. Cieszyła się tylko obserwowaniem, jak jej od paru tygodni przygnębione dziecko siedzi teraz obok, wesoło szczebiocząc, jak za starych dobrych czasów.

Malwina z tematu Roberta, który wyraźnie ją męczył, choć zrobiła wszystko, by tego nie dać po sobie poznać, zgrabnie przeszła na rozmowę o filmie, który wczoraj razem oglądały, co parę zdań powtarzając: „Boże, jakie to było głupie!”, by na koniec rzucić od niechcienia pomysł, który dopiero co pojawił się w jej głowie, a który utkwił w niej i rozkwitł, przyciągając setki przyjemnych myśli, tak jak rozkwitają kwiaty budlei, skutecznie wabiąc dziesiątki barwnych motyli:

– Idziemy na spacer do parku! – zdecydowała uradowana, że chociaż w ten sposób może matkę odciągnąć od bezustannych, przygnębiających myśli o ojcu, świecie, życiu, upadku.

Zignorowała fakt, że Jadwiga wzbraniała się, powtarzając, że przecież jest zima. Matka w końcu musiała ulec namowom i po godzinie spędzonej na porannej toalecie wyszły we dwie na niedzielny spacer, by aż do wieczora włóczyć się oszronionymi alejkami i rozmawiać o rzeczach nieistotnych. Jak prawdziwe przyjaciółki, cieszyć się po prostu swoją obecnością i urokiem drobnych śnieżnych płatków, które spadały na ich roześmiane twarze, a na koniec dnia położyć się razem w sypialni matki i do późnej nocnej godziny oglądać głupie komedie, które akurat leciały w telewizji, starając się wyciszyć w głowie myśl przypominającą, że Malwina musi wstać wcześniej rano, bo idzie do pracy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI